

Bomba w laptopie...

3 sierpnia 2016

Podróż samolotem, bez względu na to ile razy wcześniej przemieszczaliśmy się tym środkiem transportu, zawsze jest jakimś tam przeżyciem i stresem. Raz – że, nie zawsze dobrze znamy lotniska, dwa – że, istnieje możliwość opóźnienia co może kolidować z czasem przesiadki, trzy – że, stopień bezpieczeństwa (security) czyli sprawdzenia wszystkich pasażerów zanim wejdą na pokład samolotu, przebiega powoli, a jeśli dodatkowo ma się pecha i natrafi na nadgorliwego albo nadmiernie zestresowanego urzędnika, to zamiast do samolotu, można wylądować w lokalnym areszcie.

Takiej wątpliwej jakości przygoda, o mały włos nie spotkała mnie w czasie lutowego odlotu z lotniska im. Trudeau w Montrealu do Warszawy przez Zurich, szwajcarskimi liniami. Podczas, wydawałoby się rutynowej kontroli bagażu osobistego w tym laptopa, okazało się, że na powierzchni mojego komputera znaleziono jakieś (jakoby) śladowe ilości materiałów wybuchowych. Takie lotniskowe „badanie” polega na tym, że urzędnik po powierzchni komputera pociera wymazówką, którą następnie wkłada do chemicznych odczynników i od rezultatów takiego testu praktycznie nie ma odwołania.

Dlaczego i skąd takie rezultaty? Nie mam zielonego pojęcia i gdy powiedziano mi o tym, miałem wrażenie, że to jakaś totalna paranoja z orwellowskiego świata. Laptop został zakupiony w lokalnym sklepie „Costco” w Ottawie, chyba trochę więcej niż rok temu, i praktycznie cały czas, rzadko ruszany przebywał na biurku. A jakie tam pyłki na niego z sufitu spadały, to ktoś może mieć na to wpływ?

W każdym bądź razie, coś co w pierwszej chwili wydawało się być, może nawet zabawne, co wzbudzało pewną ciekawość, szybko przerodziło się w bardzo przykry incydent, zapadający na lata w pamięci. Natychmiast mnie odizolowano od innych pasażerów,

poproszono o dodatkowe wzmocnienie policyjne – po chwili było już czterech policjantów (dwóch z lotniska w tradycyjnych kapeluszach, i dwóch wezwanych z zewnątrz), razem z urzędnikami ochrony, około dziesięciu osób. Od razu poczułem się jak super groźny przestępca, dodatkowo bardzo dokładna rewizja osobista, przesłuchanie z dużą ilością prywatnych pytań, w sumie bardzo upokarzająca sytuacja. Szybko zdałem sobie sprawę, że nie wolno dać się w żaden sposób sprowokować.

W takim momencie przychodzą człowiekowi różne myśli do głowy, a przede wszystkim – co jest faktycznie grane? Ciągłe nie mogłem uwierzyć, że pilnujący mnie kanadyjscy oficerowie, to nie jest jakiś, lipnej jakości „czeski film”, ale jak najbardziej realna sytuacja. Ktoś kiedyś powiedział, że „nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu”, i dopóki sami nie mamy tej wątpliwej przyjemności się o tym przekonać, nie zawsze chcemy w to uwierzyć.

Po naradzie urzędników, w tym również przedstawiciela samolotu Swiss czyli szwajcarskich linii, łaskawie pozwolono mi udać się na pokład samolotu, który już w tym momencie był opóźniony – ale bez laptopa. Ten został zdeponowany w biurze szwajcarskich linii, co zresztą jak mi powiedziano, było aktem ogromnej przysługi wobec mojej osoby bo linie nie mają takich obowiązków – w drodze powrotnej miałem go odebrać (co też później się stało...). Miałem jeszcze inną opcję aby wyrzucić laptop do kosza na śmiecie, tak jak wcześniej musiałem to zrobić z płynem do golenia, jogurtem i małą butelką wody, kupioną zresztą na lotnisku. W takiej sytuacji, nie pozostaje już nic innego, jak tylko uczucie głębokiej wdzięczności, że jednak łaskawie zgodzono się przechować mój laptop, a mojej skromnej osobie pozwolono kontynuować dalszą podróż...

To co ten lotniskowy incydent uświadomił mi, to przede wszystkim to, jak bardzo jesteśmy bezradni w konfrontacji z systemem – praktycznie bez szans, w konfrontacji z bezdusznym – przepraszam, ale tak mówiąc wprost: z głupim urzędnikiem, który w nosie ma zdrowy rozsądek, to co tak ładnie nazywa się

w języku angielskim „common-sense”.

Później, przy wyjaśnianiu tej sprawy już w Ottawie, kto jest za ten incydent odpowiedzialny, okazało się, że nie ma winnych. Szwajcarskie linie wskazywały na urzędników lotniska którzy podjęli taką decyzję, a odpowiedź z urzędu odpowiedzialnego za bezpieczeństwo lotów z lotniska w Montrealu była tego typu, że to na skutek decyzji szwajcarskich linii, nie pozwolono mi zabrać laptopa. Czyli nie ma winnych, a właściwie jest winny, winnym jest pasażer. Po co wysilać się na jakieś wyjaśnianie sprawy, skoro winnym jest pasażer. Jakie to proste.

Ktoś z boku, może powiedzieć „drobny incydent”, nie ma o czym rozmawiać. Raczej należałoby się cieszyć, że nie zostało się potraktowanym np. paralizatorem tak jak miało to miejsce wobec polskiego imigranta Roberta Dziekańskiego na lotnisku w Vancouver. Tam też nie było winnych, oficerowie policji twierdzili – pierwsza wersja ich zeznań, że tylko raz użyli paralizatora wobec Dziekańskiego. I gdyby nie przypadkowe nagranie tamtego incydentu na video, z którego jasno wynika, że użyto paralizatora pięć razy, to nie byłoby najmniejszej szansy na dojście do prawdy. Jak to zwykle w takich przypadkach, rację mieliby oficerowie policji, sprawa byłaby już dawno zamknięta, a wszystkiemu winny byłby znowu pasażer, polski imigrant.

Jest to na pewno skrajny i tragiczny incydent, ale świetnie pokazujący bezduszość systemu. Kilku tchórzliwych policjantów nie było w stanie (nawet nie próbowali) fizycznie obezwładnić jednego bezbronnego pasażera, tylko od razu użyli paralizatorów. Porażająca bezmyślność i głupota wydawania poleceń po angielsku do człowieka, który wiadomo było, że nie zna angielskiego. Pewne jest jedno, zabito niewinnego człowieka, zmęczonego i zdezorientowanego pasażera. Policjanci z pewnością, nie mieli takich intencji, ale fakt jest faktem.

Praca na lotnisku, jest niewątpliwie stresująca, ale oprócz

wyuczonych procedur, wymagać należy chociaż elementarnego myślenia, szczególnie w przypadkach, które nie są rutynowe. Można by sądzić, że do takich i podobnych sytuacji może dochodzić gdzieś, ewentualnie w krajach trzeciego świata, ale nigdy w Kanadzie. Choćby ze względu, na ogólnie mówiąc, dosyć wysoki poziom kultury pracy (choćby mogą to być odczucia subiektywne...), ludzie pracujący na lotniskach to w większości przecież młode i dobrze wykształcone osoby, gwarantujące wysoki standard obsługi. A z drugiej strony, zastanawiam się, czy to nie jest tylko taka wizytówka – umiejętnie zakodowana w głowach i niestety tylko na pokaz, taki afisz, reklama, która ze skrzeczącą rzeczywistością niewiele ma wspólnego. I chyba też przykład na to, że ten świat wirtualny coraz częściej przesłania realny obraz. A może właśnie o to chodzi, aby przesłaniał...

Nie tak dawno, dosyć głośny był incydent z byłym politykiem Platformy, niedoszłym „premierem z Krakowa”, Janem Rokitą. Co prawda, tam chodziło o niemieckie linie Lufthansy, ale za to ta sama, bezgraniczna bezdusznosc i bezmyślność. Rokta został wyprowadzony w kajdankach z samolotu, za to, że próbował część garderoby żony umieścić w luku bagażowym, znajdującym się po biznesowej stronie samolotu. Naturalnie można i tak traktować ludzi, zamykać ich w areszcie jak pospolitych przestępców. Tylko co to ma wspólnego z solidną niemiecką obsługą i z dobrym serwisem z którego ponoć słynie Lufthansa? Faktem jest, że przy komplecie pasażerów w samolocie, ich sytuacja podobna jest trochę do przysłówiowych „szprotek w puszcze”, i czasami trudno jest znaleźć miejsce nawet na bagaż osobisty, nie mówiąc o dobrym samopoczuciu i atmosferze.

Czasami tak się zdarza, że cokolwiek człowiek zrobi, wszystko wychodzi źle. Chciałbym życzyć wszystkim – a szczególnie podróżnym, że cokolwiek by zrobili, aby zawsze wychodziło dobrze. I jak najmniej sytuacji jak w opisanych przykładach.

Autor: Krzysztof Wojciechowski

Źródło: Iskry.pl